Nr. 18. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 16. września 1928. Rok 50.

ŁOWIEC

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) dla Małopolski.

(Ciemne pola oznaczają czas ochrony)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie-byki, daniele-rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny-kozły		■	■	■20								
Zające-szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki*)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce-koguty	■	■	■15		15■	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie-koguty						■	■	■15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	■15				
Bażanty-koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					■15	■	■	15■				
Bataljony						■	■10					
Dzikie kaczory						■	■10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	■10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15■	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	■15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	■15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie i kury.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Prez. Rz. ochrona przez cały rok do odwołania.

NR. 18. WE LWOWIE, 16. WRZEŚNIA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYSTAWA ŁOWIECKA 1929 W POZNANIU

Na skierowane z kilku stron do nas zapytania w sprawie obesłania powyższej Wystawy trofeami małopolskiemi, wyjaśniamy, że wszystkie trofea, a więc nietylko na wystawie łowieckiej 1927 we Lwowie premjowane, ale też i później, do terminu otwarcia przyszłej Wystawy zdobyte, mogą być na tę Wystawę zgłoszone.

REDAKCJA



ALBERT MNISZEK

Z dziedziny broni i amunicji.

Ciąg dalszy.

5. Pocisk u celu.

(Rozrzut, działanie pocisku).

Po kilku strzałach do tarczy z tej samej kulowej broni i w tych samych warunkach danych, przekonamy się, że pociski nie trafiły wszystkie w to samo miejsce, lecz rozdzieliły się na pewnej przestrzeni. Właściwość tę rozrzucania się pocisków po tarczy nazywamy rozrzutem.

O ile w broni kulowej dopiero serja strzałów daje nam obraz rozrzutu na tarczy, to w broni śrutowej każdy strzał z osobna daje nam ten obraz, z którego możemy sobie wywnioskować wartość strzelecką danej śrutówki.

Poświęcimy kilka uwag najpierw broni kulowej. Pomijając pewne konieczne różnice w celowaniu od strzału do strzału przez najlepszego nawet strzelca, inne ważne czynniki od niego niezależne, powodują rozrzut. Temi są: Minimalne różnice w początkowej chyżości pocisków wywołane choćby też minimalną różnicą w ilości prochu w każdym ładunku, takież różnice w wadze pocisków, różnice w zapale spłonki, pozostałości prochowe z poprzedniego strzału, wreszcie rozgrzewanie się lufy i wskutek tego zmieniona jej wibracja. Wreszcie powodem rozrzutu może być zmieniający się z minuty na minutę opór powietrza, szczególnie w czasie wietrznym. Te wszystkie czynniki powodują pewne zmiany toru każdego wystrzelanego pocisku, a co zatem idzie, zmianę położenia punktów przecinających przez niego tarczę.

Grupę punktów trafiających tarczę pocisków obejmujemy linjami w czworobok prostokątny, którego wymiar pionowy i poziomy da nam wymiar wielkości rozrzutu.

Pod rozrzutem naturalnym broni kulowej rozumiemy rozrzut spowodowany czynnikami wyż wymienionemi od strzelca niezależnemi. Rozrzut spowodowany przez strzelca nazywamy rozrzutem indywidualnym. Wreszcie mamy do zanotowania rozrzut wadliwy, powodowany błędami leżącemi w broni i w amunicji.

Ponieważ głównym powodem rozrzutu jest zmieniająca się przy każdym strzale szybkość początkowa pocisku, a co zatem idzie, zmiana w krzywiźnie jego toru, rozrzut przy większej ilości strzałów i na dalsze odległości rozszerzać się będzie więcej w kierunku pionowym. Czworobok więc, w granice którego rozrzut ujmujemy, wykazuje ściany pionowe wyższe od ścian poziomych. I tak przy karabinie wojskowym Mausera model 98, 8 mm, widzimy rozrzut:

na 100 m	pionowy	9 cm,	poziomy	8 cm	
„ 150 „	„	15 „	„	13 „	
„ 300 „	„	34 „	„	28 „	
„ 600 „	„	86 „	„	61 „	

Z tego zestawienia widzimy, że na 100 m rozrzut na wysokość i szerokość jest prawie równy, na 600 m jednak wysokość rozrzutu jest już o 30% większą, od jego szerokości.

Przy próbie rozrzutu w myśliwskim sztucerze przyjmuje się ogólnie 10 do 12 strzałów za podstawę do ocenienia precyzyjności broni. Kilka strzałów tylko, 2 lub 3, nie może dać jeszcze dokładnego obrazu. Położenie trafnych punktów w tarczy w stosunku do jej środka niema żadnego znaczenia, gdyż jeżeli broń daje mały a więc dobry rozrzut, jest rzeczą tylko stosownego uregulowania celownika i muszki, by kule z danej broni osiągały środek celu. Przy sztucerze podwójnym natomiast jest koniecznem uzupełnianie się wzajemne obu luf w tworzeniu wspólnego obrazu rozrzutu, który już nie zależy od przyrządów celowniczych broni, lecz od sposobu spojenia luf.

Powodami błędnego rozrzutu u broni myśliwskich są przedewszystkiem: wadliwa konstrukcja wnętrza lufy, gwintu, błędy w połączeniu luf z łożem. Winę często ponosi też zła amunicja, a więc niestosowny gatunek i ładunek prochu, niestosowna waga pocisku i niestosowny jego kształt w stosunku do jakości gwintu. Myśliwy, chcący wypróbować rozrzut swego sztućca, powinien przeprowadzić próbę z pedanterją w wyborze amunicji i w zbadaniu czystości lufy. Przy pierwszej próbie nie poleca się zastosowania lunety, gdyż w razie złego rozrzutu skonstatowaćby najpierw należało, czy winę sztućcowi, czy lunecie przypisać należy.

Wielka chyżość początkowa pocisku, jego waga zabezpieczająca skuteczne działanie w ciele zwierzęcem, dobra razancja i mały rozrzut, są to warunki, które stawiać musi myśliwy swej broni, jeżeli ma ona odpowiadać zadaniu. Wszystkie te czynniki ze sobą się łączą i jedne z drugich wypływają. Możliwie mały rozrzut pomaga myśliwemu do osiągnięcia dobrego strzału. Im bowiem mniejszą jest przestrzeń rozrzutu, tem łatwiej myśliwemu umieścić śmiertelną kulę w zwierzu i w ogniu go położyć. Pamiętać należy, że rozrzut indywidualny powiększa rozrzut naturalny, o ile więc ten drugi będzie mniejszy, tem większą jest pewność dania śmiertelnego strzału. Wielkość naturalnego rozrzutu ma też wpływ na dalekocelność broni, bo im on jest mniejszy, tem na dalekie cele umieszczenie kuli w obrębie komory zwierza będzie miało więcej szans powodzenia.

Jaką jest granica rozrzutu przy sztucerach myśliwskich, poza którą broń już za nieodpowiednią uznać należy, orzec jest dość trudno, wielkość bowiem jego zależy od kalibru, gwintu i rodzaju zamku. Stacje doświadczalne w Niemczech oznaczają przy broni o pociskach płaszczykowych rozrzut na 80 m: przy 12 strzałach: 6·5 cm (na wysokość) jako znakomity, do 8 cm jako bardzo dobry, do 9·5 cm jako dobry, do 12·5 jako wystarczający, ponad 12·5 jako zły. Przy podwójnych sztucerach środkowe strzały z obu luf nie powinny na odległość 80 m ponad 7 do 8 cm się rozchodzić.

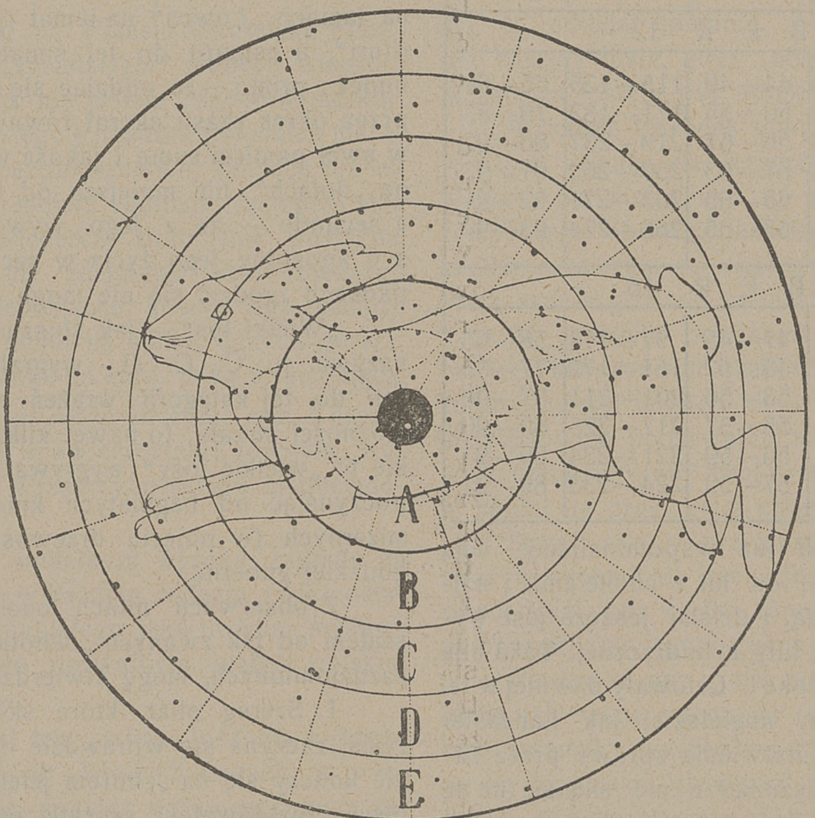
Przejdźmy teraz do strzału śrutowego.

O ile u broni kulowej rozrzut uważamy za konieczne zło, które staramy się w granicach możliwości umniejszyć, o tyle w śrutówce rozrzut jest koniecznością, która ułatwia strzelcowi trafienie celów małych i ruchomych. Jak wielki i jak gęsty powinien być rozrzut śrutu, zależy od wielkości i jakości zwierzyny (n. p. zając czy przepiórka) i od indywidualnej sprawności strzeleckiej myśliwego. Zamawiający więc dla siebie śrutówkę myśliwy musi sam pomiary rozrzutu oznaczyć.

Na następujących danych bazujemy wartość strzelecką śrutowej broni:

1. Ilość trafnych śrucin w stosunku do zgęszczenia.
2. Równomierność krycia.
3. Równość strzałów.
4. Położenie trafnych śrucin.
5. Siła przebijania.

Pierwsze cztery punkty omówimy tu treściwie, piątemu w następnym rozdziale, traktującym o działaniu pocisku, poświęcimy słów kilka.



Dla przeprowadzenia doświadczeń ze strzałem śrutowym, zaprowadzono w rusznikarstwie t. zw. tarczę stupolową, której podobiznę przedstawia obok leżąca rycina. Tarcza ta w kształcie koła o 75 cm średnicy, podzieloną jest na 5 oddziałów, które stanowią: koło środkowe A (średnicy 25·2 cm, = 498 cm²) i 4 pierścienie B, C, D i E (o średnicy zewnętrznej 39·6, 52·1, 63·8 i 75 cm). Każdy z tych oddziałów jest podzielony na 20 pól. Ponieważ przestrzeń pierścienia E jest 2·5 razy większa od przestrzeni koła A, są też i pola w pierścieniu E 2·5 razy większe od pól w kole A. Przez ten podział tarczy na 100 pól i przez wzajemny stosunek wielkości pól da się osądzić, jak się rozrzut śrucin na całej płaszczyźnie tarczy mającej 4418 cm² przestrzeni rozdziela i w jakim stopniu ku środkowi się zgęszcza. Jeżeli bowiem przestrzeń pierścienia E jest 2·5 razy większą od przestrzeni koła A, to przy równej liczbie trafnych śrucin w obu tych oddziałach, zgęszczenie rozrzutu na całej tarczy będzie jak 1 : 2·5. Im większą jest liczba trafnych śrucin w stosunku do zgęszczenia, tem wartość strzelecka danej broni będzie większa. Jeżeli więc śrutówka daje przy zgęszczeniu 1 : 2 trafnych śrucin 190, to jest lepszą od innej, która daje tę samą liczbę trafnych śrucin przy zgęszczeniu 1 : 3, gdyż w tym drugim wypadku siedzą śruciny za gęsto w środku, gdy ymczasem pola zewnętrzne są prawie od śrucin wolne.

Im więcej pól w tarczy jest trafionych, tem krycie jest lepsze. Jeżeli śrutówka przy 70 trafnych śrucin daje 50 trafionych pól, druga zaś przy tej samej liczbie trafnych śrucin pokrywa 70 pól, to wyższość w dobroci przyznać musimy tej drugiej, gdyż możliwość trafienia z niej śruciną małego celu jest większą.

Podstawową odległością do próbowania broni śrutowej jest meta 35 metrów.

Równość strzałów jest jedną z największych wartości decydujących o dobroci broni. Skonstatować ją możemy po daniu 5-ciu strzałów tym samym ładunkiem prochu i numerem śrutu.

Położenie trafnych śrucin powinno zajmować środek tarczy. Często wymaganem bywa przy dzisiejszej broni śrutowej myśliwskiej podwyższenie strzału 10 do 15 cm ponad środek tarczy, przy gołębiarkach podwyżka ta osiąga nawet 20 do 25 cm.

Myśliwy, chcąc mieć w cyfrach rezultat swego próbnego strzału do tarczy stupolowej oblicza najpierw ilość trafnych śrucin w kole A, następnie w 4 innych pierścieniach i notuje ogólną liczbę tychże na całej tarczy. Również oblicza liczbę pól trafionych. Przez pomnożenie trafionych śrucin w kole A przez 10 a następnie podzielenie iloczynu tego przez liczbę trafnych śrucin w pierścieniu E, otrzymuje iloraz, który wykazany w przybliżeniu w rubryce pierwszej tabelki, wykaże mu miarę zgęszczenia.

Przykład: śrutówka kal. 16 śrutem 3·5 mm daje przeciętny rezultat z 5 strzałów: Liczba trafnych w tarczy = 87, w kole A = 19, w pierścieniu E = 15, trafnych pól 61. Zgęszczenie więc oblicza się:

$$\frac{19 \times 10}{15} = 12{\cdot}6$$

co w przybliżeniu odpowiada przedostatniej pozycji w drugiej części tabelki (12·26), a więc mierze zgęszczenia 1 : 3.

Do jakiego stopnia zgęszczony strzał ma dawać śrutówka, może decydować tylko myśliwy, zależeć to tylko bowiem może od jego sprawności strzeleckiej i od celu, któremu ona ma służyć. Im mniej myśliwy tej sprawności posiada, a broń na bliższe tylko odległości ma być używaną, tem od niej szerszego rozrzutu żądać powinien. Broń dla znakomitych strzelców, dla celów

sportowych, lub specjalnie dalekich strzałów, potrzebuje rozrzutu gęstszego.

Ale ważniejszym czynnikiem od gęstego rozrzutu i o wiele wyżej podnoszącym wartość broni śrutowej jest dobre, równomierne krycie. Do drobnej szczególnie i szybkiej zwierzyny (ptaki) jest ono niezbędne, gdyż poprawia drobne błędy w celowaniu popełnione przez strzelca.

$\frac{10 \times A}{E}$	Miara zgęszczenia	Śrut 3·5 mm		Śrut 2·5 mm	
		Trafne śruty	Trafione pola	Trafne śruty	Trafione pola
KALIBER 12					
4·09	1 : 1·0	60— 66	44—49	115—125	65—68
6·13	1 : 1·5	73— 80	50—55	171—183	79—83
8·17	1 : 2·0	86— 93	56—61	219—237	86—92
10·21	1 : 2·5	96—100	61—63	250—262	91—93
12·26	1 : 3·0	100—104	63—65	263—271	92—94
14·30	1 : 3·5	102—105	63—65	266—274	93—94
KALIBER 16					
4·09	1 : 1·0	56—60	41—45	97—114	58—65
6·13	1 : 1·5	69—74	48—52	151—172	77—83
8·17	1 : 2·0	78—82	53—56	201—211	87—90
10·21	1 : 2·5	83—86	55—57	217—226	89—90
12·26	1 : 3·0	86—89	56—59	221—234	89—91
14·30	1 : 3·5	87—90	57—59	224—233	89—91

Lufy cylindryczne, jak już wspominaliśmy, dają krycie więcej równomierne, od luf z choke'ami, i największą sztuką rusznikarską, i dzisiaj jeszcze jest wykonanie prawdziwie dobrej lufy cylindrycznej. Taka bije swem kryciem wszystkie choke'i. Celowały dawniej w tej sztuce stare, sławne firmy angielskie, jak Lancaster i Greener. Dzisiaj, wobec ułatwienia sprawy przez zaprowadzenie choke'ów, rusznikarze nie silą się na tę prawdziwie wysoką sztukę.

Warunkiem też nieodzownym zyskiwania dobrego krycia jest używanie odpowiedniej grubości śrutu. Śrut cienki daje zawsze lepsze krycie od śrutu grubszego, a co zatem idzie i lepszy rezultat strzału. O tem pomówimy jeszcze przy omawianiu działania pocisków w ciele zwierzęcem w następnym i ostatnim ustępie niniejszej pracy.

Wspomnieć tu wreszcie musimy jeszcze o zdarzających się przy strzelaniu śrutowem t. zw. dzikich strzałach. Za taki uważa się strzał dający w tarczy o 1/4 mniej śrucin w serji innych normalnych z tej samej broni. Również strzały dające różny zupełnie obraz rozrzutu od innych danych z tej samej broni, jak n. p. strzał bardzo gęsty z broni dość rozrzucającej, uważać musimy za dziki.

Powody takich strzałów są dotąd niezupełnie zbadane. Dobrze wykończona broń daje ich w każdym razie znacznie mniej od broni wykonanej licho. Zdarzają się one najczęściej, jako pierwsze po zmianie gatunku prochu dłużej z jednej broni używanego na inny. Możnaby więc przypuszczać, że dzikie strzały powoduje zmieniona wskutek tego wibracja lufy. C. d. n.

TEODOR TOŁŁOCZKO

O RYSIU

Głos w sprawie artykułu p. C. C. G. w „Łowcu“ „Morituri“

Jakkolwiek jestem myśliwym z tak bardzo przez Czcigodnego p. Przedrzymirskiego postponowanych „dołów“ i szczerze Mu zazdroszczę wrażeń myśliwskich, jakie mogą dostarczyć łowy górskie, ośmielę się jednak zabrać głos w ciekawej Jego polemice z p. K. Strzemię na łamach „Łowca“ na temat rysia, zatytułowanej „Morituri“, a asumpt do tej śmiałości czuję z dwóch pobudek: primo — że oddając się namiętności myśliwskiej przez okres czasu akurat równy latom Sz. Autora, mam w swej pamięci sumę i jakość wrażeń z moich polowań na „dołach“ nie mniejszą od Jego polowań w górach, a secundo — że z Jego wywodami o rysiu wogóle, a o sposobie jego życia w szczególności w wielu wypadkach zgodzić się nie mogę.

„Wielki los“ — jak słusznie to spotkanie z rysiem nazywa p. C. C. G., wygrałem kilkakrotnie, a jeżeli do tej kategorji wrażeń zaliczyć i spotkanie bez możności strzału, to nawet kilkunastokrotnie. A wszystkie te „wielkie losy“ wygrywałem właśnie w „dołach“, poczynając od bagnistych kniei Polesia, a kończąc na mizernych (w pojęciu drzewostanu) mszarach Wołogodzkiej guberni.

Z obserwacji moich osobistych i z tego co słyszałem od tak zwanych „ochotników“, dobrze z rysiami zaznajomionych, mogę stwierdzić, że:

1. Szereg ofiar, które składają się na pożywienie rysia, zaczyna się wprawdzie od myszy, ale bynajmniej nie kończy się na „chorem jeleniem cielęciu“, gdyż osobiście znajdowałem szczątki potężnego byka-łosia rozdartego przez rysia, a ślady tropienia ofiary po śniegu i śmiertelnej walki, nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do sprawcy tego dramatu kniei. Zgadzam się z Sz. Autorem z Jego wątpliwością, czy fizyczna siła rysia byłaby wystarczającą dla pokonania w otwartej walce starego odyńca, łosia, a nawet jelenia, ale niestety, te zapasy odbywają się w przyrodzie w warunkach zgoła odmiennych od tych przepisów, jakie obowiązują zapaśników na arenie cyrkowej: w kniei o wynikach walki decyduje nietylko siła, ale spryt, przebiegłość i często bardzo różnorodny zbieg okoliczności, a te warunki sprzyjają najczęściej właśnie temu nietylko bardzo silnemu, ale i niesłychanie zwinnemu i sprytnemu drapieżnikowi.

2. „Śliczna wersja o rysiu, czatującym na drzewie i spadającym stamtąd na grzbiet ofiary“ nie jest tylko „piękną legendą“, jak twierdzi Sz. P. Przedrzymirski, ale właśnie faktycznym i skutecznym preferansem rysia w jego zdobywaniu pożywienia, który pozwala mu na pokonanie ofiary, w otwartej walce dla niego może i niedostępnej. Rany świeże i zabliźnione na karkach zabitych łosi są niewątpliwem tego faktu potwierdzeniem

i jakkolwiek trudno przypuszczać, żeby ryś przeskakiwał z drzewa na drzewo po gałęziach jak wiewiórka, to jednak osobiście przezemnie obserwowany trop rysia, gonionego przez psy, wskazuje na to, że chętnie on w ucieczce korzysta nietylko z pni „zwałów“, ale także i po silnie pochylonych drzewach ślad swój przed psami zmylić się stara. Twierdzę z całem przekonaniem, że ryś często swoją ofiarę z takiego pochylonego drzewa, lub grubej gałęzi atakuje, a widziałem też niejednokrotnie ślady wdrapywania się jego na zupełnie pionowe pnie drzewa, po których idzie nie prostą linją zdołu do góry, lecz spiralnie, jak poleszucy nazywają „świerdelcem“.

3. Jakkolwiek znam na Polesiu tokowiska głuszcowe, gdzie osobiście „zasadzałem“ jednego wieczora po 20 kogutów, to jednak nie jestem „zupełnie spokojnym“ o los tego królewskiego trubadura poleskich mszarów, jeżeli chodzi o niebezpieczeństwo, grożące mu od drapieżnego rysia, gdyż, mojem zdaniem, najlepszy stan głuszców może ten krwiożerczy drapieżnik poważnie uszczuplić, oczywiście nie zdejmując roztokowanego koguta z wierzchołka niebosiężnej sosny, lecz pełzając ku niemu po głębokim mchu na ziemi, lub, co gorsze, spadając w drapieżnym skoku na kurę, jajka wysiadującą.

Te spustoszenia, jakie może poczynić ryś, a szczególniej rysica z młodemi, w zwierzostanie łownym, wydają mi się przez Sz. P. Przedrzymirskiego niedocenionemi.

Tem nie mniej nie wydałbym wyroku zagłady na tego bardzo szkodliwego w każdym rodzaju zwierzostanie, ale jednocześnie wspaniałego jako trofeum myśliwskie, drapieżnika, którego nazwałbym małym polskim tygrysem.

Zbyt ponętnym jest ten „wielki los“ dla każdego myśliwego, rozkochanego w „wielkich łowach“ w przeciwstawieniu do wirtuoza - strzelca uprawiającego z zamiłowaniem „pseudo-polowania i pukaninę do zajęcy“, z tem zastrzeżeniem, że pojęcie „wielkich łowów“ nie ogranicza się tylko do „wysokich łowów“ — w górach, lecz i „niskich łowów“ w przepięknych naszych nizinnych kniejach Polesia. Tu, żeby nie być gołosłownym, pozwolę sobie przytoczyć parę przykładów moich spotkań z rysiami w „dołach“.

W piękny, mroźny dzień styczniowy 1916 roku polowaliśmy we dwie strzelby z trzema ogarami na łosie w bezkresnych kniejach powiatu Bobrzyńskiego. Stojąc z dubeltowym sztucerem na stanowisku w sennej ciszy zaśnieżonej kniei, zasłuchałem się w pianissimo nuconą symfonję otaczającej przyrody, starając się wyłowić uchem upragniony głos psiego gonu ze strony okładających z psami o parę kilometrów odległego „ostrówka“.

Stałem na nocnym, wyraźnym w głębokim śniegu, łosim tropie. Przed sobą miałem nieprzebyte zwały prastarych wywrotów jodłowych, miejscami gęsto podszytych zwartą młodą jedliną, w których gubił się trop łosia, a na prawo — rzadszą halizną, którą przypuszczalnie mógłby sadzić łoś, ewentualnie przez psy goniony.

Dłuższy czas, przeszło godzinę, nic nie mąciło kościelnej ciszy boru. Towarzysz mój, niewidzialny zresztą dla mnie, stał o paręset metrów dalej na tej samej co i ja „trybie“. Od czasu do czasu zaświerkała wiewiórka, przelatując w akrobatycznych skokach po gałęziach niebotycznych jodeł, furknął jarząbek, zapadając o parę kroków odemnie w jedlinie, zakuł niestrudzony kowal - dzięcioł i znowu las zalegała niezmącona cisza.

Naraz daleko, gdzieś, zdawało się, w zaświatach, w tę ciszę wpadł cienki, sopranowy, odległy głos psiego gonu. Po nim przyłączył się po chwili drugi, trzeci i wreszcie zagrała cała sfora, której głos to przybliżał się, to oddalał odemnie. Nie miałem wątpliwości, że psy ruszyły łosia, gdyż „obładczyk“ miał polecenie wyłącznie za łosiem psy spuścić.

Wreszcie kierunek gonu wyraźnie zaakcentował się w naszą stronę, ale jeszcze nie byłem pewny czy łoś wyjdzie na mnie, czy na mego sąsiada, jakkolwiek w myśl reguł obowiązujących na polowaniach z ogarami, mieliśmy zależnie od okoliczności, podbiegać po trybie, którą zwierz goniony musiał przecinać.

W pewnym momencie już byłem zdecydowany podbiec kilkadziesiąt kroków na prawo, gdy naraz coś żółto-płowego mignęło mi w gęstej świerczynie, a gdy instynktownie poderwałem sztucer do oka, spostrzegłem nagle rysia, ogromny zwał przesadzającego i spadającego w skoku na drugi zwał zmurszały.

Strzał mój, z przymusu gorączkowy, przewrócił rysia w skoku, ale nie uśmiercił go na miejscu i dopiero drugi, gdy ciężko ranny, po brzuchu, przez trybę przepełzał, rozciągnął go na śniegu.

Ponieważ psy gonić nie przestawały, więc pobiegłem, jak zamierzałem, po trybie, ale że łoś po strzałach załamał i wyszedł na sztych na mego sąsiada, gdzie swoją łopaciastą głowę od jego kuli położył, więc tym razem do strzału nie doszedłem, zadawalając się nie mniej cennem swojem trofeum.

* * *

Drugi „wielki los“ i to w formie, którą św. Hubert darzy tylko „wybranych“, — wygrałem na mszarach Wołogodna, w północnej Rosji. Wielki, bezmierny obszar nieokreślonego charakteru, pokryty przeszło metrową warstwą lśniącego śniegu, usiany paruset hektarowemi „ostrówkami“ rachitycznej brzozy i świerczyny. Pięciu „ochotników — pusznych promyszlennikow“ (zwanych u nas poprostu kłusownikami) na „łyżwach“ (nartach), uzbrojonych w długie, jednostrzałowe rusznice „Iżewskoho Tulskoho Zawoda“ i kilkanaście kudłatych różnego autoramentu kundli, zwanych tam ogólnie „łajkami“ towarzyszy mnie w wyprawie na otropione trzy rysie.

Idziemy już kilka kilometrów za drukowanym po przeczystym śniegu rysim tropem, a kierujący wyprawą „obładnicy“ za każdem zbliżeniem się do „ostrówka“, okładają go z psami z przeciwnej nam strony, badając czy jest z niego trop wychodny. Wreszcie po kilku godzinach takiego, bardzo mnie fatygującego marszu, gdyż nie jestem wprawnym narciarzem, a zejście z nart grozi

zapadnięciem się po pas w śniegu, posłyszałem umówiony sygnał, stwierdzający „obcięcie“ tropu. Śpiesznie dochodzimy do brzegu dosyć gęstych zarośli „ostrówka“; mnie stawiają na tropie, a kilku „ochotników“ rozmieszcza się po obu moich stronach i zapadamy w ciszy. Strzał i bezładne ujadanie psów od strony „obładczyków“ zwiastuje rozpoczęcie obławy.

Dłuższy czas nic nie wskazywało na ruszenie zwierza, aż naraz psy silniej zahałasowały, obławnicy zawrzeszczeli, padło parę strzałów i po paru minutach spostrzegłem migające pomiędzy haszczami duże sylwetki pomykających rysi. O jakieś 150 metrów przedemną nagle załamały w bok, choć stałem jak skamieniała mumja, więc, straciwszy nadzieję bliższego strzału, strzeliłem do pierwszej, największej sztuki raz, gdy przeszywała kilkumetrową szczupłą polankę. Po śniegu zauważyłem, że moja kula z Wintchestra cal. 351 upadła przed samym nosem rysia, ale zanim zdążyłem poprawić do tej samej, lub następnej sztuki, wszystkie trzy rysie nagle i ku mojemu zdumieniu, załamały po tym strzale prosto w moją stronę. Drugą sztuką na sztych przewróciłem w ogniu na 50 kroków przedniego rysia, a następnego, załamującego po tym strzale do boku, trafiłem trzecią kulą w skoku po zadzie i znalazłem go kotłującego się w zaśnieżonych haszczach o kilkadziesiąt kroków od miejsca strzału. Trzeci padł od loftek jednego z „ochotników“. Psy silnem ujadaniem markowały miejsca pobitych rysi, ale bezpośrednio żadnego z nich nie atakowały.

* * *

Wreszcie czwarty mój ryś padł z jednoczesnego prawie dubleta do niego i do kozła przez psy pędzonego — w poleskiej kniei.

A więc wszystkie cztery moje rysie zabiłem w tak „nikczemnych dołach“, w których spotykałem się również z niemi w mniej pomyślnych dla mnie, ale za to sprzyjających dla nich warunkach. Na zakończenie parę z tych zdarzeń przytoczę:

Po pierwszej ponowie przed paru laty, nie pamiętam już którego roku, otrzymałem depeszę z głębi Polesia: „Trzy rysie zamknięte“, co miało oznaczać, że po wytropieniu, mój przyjaciel od serca po kniei — Mykita, osznurował je chorągiewkami w wiorstowym „kwartale“.

Oczywiście w kilkanaście godzin po tak emocjonującej depeszy, byłem już „w boru“ i obchodziłem z Mykitą po sznurze, upstrzonym płatami kolorowego perkalu, osznurowany kwartał. Wzdłuż całej prawie linji sznura, o kilkanaście prawie kroków od niego, śnieg gęsto był stropiony przez trzy rysie, a w miejscach, gdzie śnieg był mniej zdeptany, wyraźnie widać było jeden trop większy — matki i dwa mniejsze — młodych rysiaków. Ale szczególnie ciekawym był trop w jednem miejscu, gdzie matka w ogromnym, kilkumetrowym skoku przesadziła sznur i zdeptała śnieg po drugiej jego stronie, a dwa młode rysiaki podchodziły za nią do samego sznura, ale przerażone widocznie ruszającemi się od wiatru chorągiewkami, odskoczyły w głąb kniei i nie miały odwagi przejść za matką, która po bezowocnych usiłowaniach wyprowadzenia dzieci z instynktownie przeczuwanej matni, powrotnym skokiem przez sznur, którego widocznie sama bała się panicznie, łączyła się z upartemi dziećmi.

Nic nie pomogło — i, widoczne w innem miejscu na śniegu, prześlizgiwanie się starej pod sznurem na brzuchu. Rysiaki, ogarnięte panicznym strachem przed ruszającemi się chorągiewkami, zanic nie chciały przekroczyć tego strasznego dla nich rubikonu. Nie mniej strasznym był on oczywiście i dla drżącej o życie swoich dzieci matki, co, jak na kliszy fotograficznej, odbijało się na śniegu: jak się do skoku przez złowieszczy sznur czaiła, jak na brzuchu doń podpełzała, jak wreszcie z narażeniem własnego życia (w jej mniemaniu) przez sznur przesadzała. A te uparciuchy nic i nic. Co podejdą na kilka kroków do sznura, to znów od niego odskakują.

Wreszcie obeszliśmy z Mykitą cały kwartał i wychodnego tropu przez sznur nie znaleźliśmy. Czyli, że rysie pozostawały w zamknięciu i należało je ruszyć w środku kwartału. Stanąłem przy sznurze na miejscu najbardziej otropionem, a Mykita z jeszcze jednym osacznikiem i dwoma psami weszli w głąb kniei. Już po kilku minutach posłyszałem gon psów, ale w stronę odemnie przeciwną. Rysi tego dnia nie zobaczyłem. Naciśnięte przez psy i oswojone już widocznie po dwóch dobach ze sznurem, przemogły wreszcie nieprzezwyciężony dotąd strach, przepełzły na brzuchach pod sznurem i poszły przed psami w dalsze knieje.

* * *

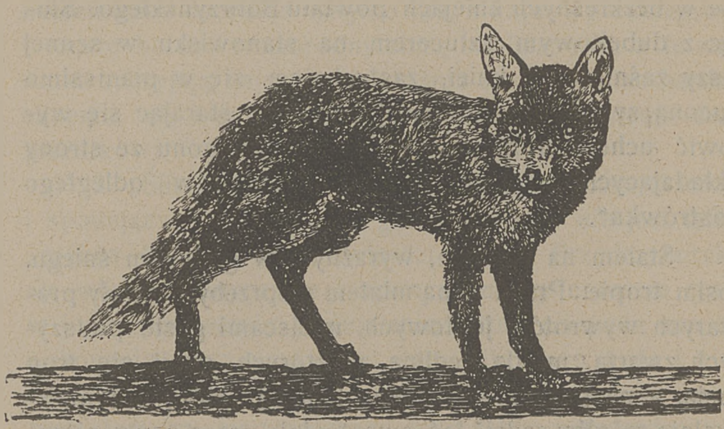
Takich osobistych wrażeń ze spotkań z rysiami w nizinnych kniejach mógłbym przytoczyć więcej, a doznanych przez moich kolegów-myśliwych jeszcze więcej. W zeszłym roku mój znajomy zabił dubletem „w sznurach“ dwa rysie, a w tym roku inny, który nb. raz do roku bierze strzelbę do ręki, — trzy sztuki na jednem stanowisku przy obławie uśmiercił.

A więc nietylko „wysokie łowy“ są w stanie tak pięknie „przemówić do duszy łowca“. Mają swoje piękne knieje i nasze „doły“.

Ale jeszcze ad rem et ad meritum:

Czy ryś ma podlegać ochronie?

Mojem zdaniem — bezwzględnie tak, — w okresie godowym, a pozatem najlepszą ustawą łowiecką winna być sama Przyroda, która ustosunkowanie różnych gatunków zwierząt najdoskonalej sama reguluje. Nie trzeba Jej tylko przeszkadzać.



Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych

W sobotę dnia 25. sierpnia b. r. odbył się w majętności Iwno, własności Ignacego hr. Mielżyńskiego,



Leśn. państw. Alfons Gramowski: *Unkas*, I. nagroda; leśn. Brunon Gramowski: *Mum*, list pochwalny; Ignacy Jasiński: *Herta*, III. nagroda; Marjan Siudzik: *Bianka*, list pochwalny.

Premjowy Konkurs Wyżłów dowodnych, urządzony przez Wielkopolski Związek Myśliwych.

Otwarcie konkursu zagaił Prezes Wielkopolskiego Związku Myśliwych ppłk. rez. Konstanty Chłapowski, witając obecnych, przyczem podkreślił ważność dla łowiectwa hodowli i tresury psów myśliwskich, która w czasach powojennych zupełnie zanikła i przytacza — jako dowód tego — fakt, a mianowicie, że na rozpisany konkurs przez Wielkopolski Związek Myśliwych w roku ubiegłym zgłoszonych zostało tylko trzech kandydatów.

Zgłoszonych do konkursu zostało 11 kandydatów, z których stawiło się 10. Egzamin odbył się z pracy za farbą, pracy leśnej, ciętości, pracy polnej i pracy wodnej. Bardzo suche powietrze i upał utrudniały kandydatom stającym do konkursu w wysokiej mierze pracę. Około południa odbyło się wspólne śniadanie pod gołem niebem, na którem Prezes Związku powitał delegata Ministerstwa Rolnictwa p. Radcę Ministerjalnego Juljana Ejsmonda i Radcę Wojewódzkiego p. Radońskiego, podkreślając słuszne zainteresowanie się władz, a mianowicie Ministerstwa Rolnictwa, które na cele nagród przeznaczyło 2 medale. Po śniadaniu przystąpiono do egzaminu z pracy polnej i wodnej, poczem o godz. 7·30 po odbytem posiedzeniu Komisji Sędziowskiej, w skład której weszli: Generał Raszewski, Radca Ministerjalny Juljan Ejsmond, Radca Radoński, Generał Unrug, ppłk. rezerwy Chłapowski, Fraciszek Unrug, nadleśn. Zaleski, nadleśn. Metzig, Ordynat Taczanowski, Górski, Gozimirski i por. rez. Kostro; przewodniczący p. Generał Raszewski podał wynik z odbytego egzaminu: I. nagrodę: medal srebrny Ministerstwa Rolnictwa i 300 zł otrzymał p. leśn. państw. Walenty Przybyła, właściciel hodowli wyżłów dowodnych „Z Wielkopolskiej Kniei" za wyżła *Reja*. Ilość uzyskanych punktów 168.

Dalszą pierwszą nagrodę, medal bronzowy Ministerstwa Rolnictwa i 300 zł uzyskał leśn. państw. Alfons Gramowski za wyżła *Unkasa* z Bukowej Góry. Ilość uzyskancyh punktów 160.

III. nagrodę: 100 zł uzyskał p. Ignacy Jasiński ze Strzelna, właściciel hodowli wyżłów dowodnych „Z nad Gopła" za wyżlicę *Hertę* z nad Gopła. Ilość uzyskanych punktów 146.

Listy pochwalne przyznała Komisja Sędziowska p. leśn. Brunonowi Gramowskiemu za wyżła *Muma* z Bukowej Góry. Ilość uzyskanych punktów 108, i panu Marjanowi Siudzikowi z Poznania za wyżlicę *Biankę*. Ilość uzyskanych punktów 106.

Następnie Prezes Wielkopolskiego Związku Myśliwych, wyrażając raz jeszcze podziękowanie Komisji Sędziowskiej konkursu oraz p. Radcy Juljanowi Ejsmondowi za udział w tejże, Ignacemu hr. Mielżyńskiemu za stawienie do dyspozycji terenu, ludzi i podwód oraz



Leśn. państw. Walenty Przybyła: *Rej*, I. nagroda.

p.. por. rez. Kostro, sekretarzowi Związku i p. nadleśn. Piszczygłowie za pracę około przygotowania terenu do konkursu, zakończył pierwszy na wielką skalę odbyty w odrodzonej Polsce Premjowy Konkurs Wyżłów dowodnych.

Po zakończeniu odbył się w gościnnym domu hr. Mielżyńskiego obiad dla Komisji Sędziowskiej oraz proszonych gości, w którym niestety hr. Mielżyński z powodu choroby udziału wziąć nie mógł. Wśród licznych toastów głęboko zaryły się w pamięci słowa delegata Ministerstwa Rolnictwa p. Radcy Ejsmonda, który Wielkopolskę nazwał mózgiem i sercem łowiectwa polskiego.

Za Zarząd

Kostro Sekretarz

Chłapowski Prezes



LEOPOLD ŁYSAKOWSKI

Szczupak, karpie i ryś

Cóż za dziwaczny tytuł?! — pomyślicie Szanowni Czytelnicy... Traktat o szczupaku i karpiach to możliwe, ale nie w „Łowcu“, lecz chyba w czasopiśmie traktującem o rybactwie. A ryś w towarzystwie z rybami (!), to już zupełnie niezrozumiałe... Gdzie Rzym — gdzie Krym? Postaram się wytłumaczyć.

Powiadają, że obecność szczupaka w stawach rybnych potrzebna, bo zniewala karpie do ciągłego ruchu, co im na zdrowie wychodzi. I niech mi nie poczyta za złe p. K. Strzemię, gdy go na chwilę porównam z owym legendarnym szczupakiem, bo gdy on się odezwie, gdy zatnie ołówek i machnie jędrny artykulik, zawsze pełen niebyle jakich, na długoletniem doświadczeniu opartych argumentów, ruch powstaje wśród karpi (delegatów i korespondentów), sypią się sprzeciwy, wyłaniają nowe poglądy, a wymiana zdań daje rezultat pomyślny w interesie prawidłowego łowiectwa i etyki myśliwskiej.

Tak było w zeszłym roku w sprawie rogaczy: kula czy śrut, rogacz czy kozioł? Posypało się wiele argumentów za i przeciw; wybrano drogę pośrednią, kompromisową... P. Redaktor, choć wpół drogi do zwycięstwa chciał dobrowolnie iść do Canossy, ostatecznie obronił swoją tezę. Ożywiona dyskusja wyszła ogółowi myśliwych na zdrowie, nie był tylko nią zbudowany sam rogacz, — dla niego nie są sympatyczni ani ci, którzy zamierzają nadziewać go śrutami, ani owi zwolennicy kuli, wszak jemu chodzi o życie! A już zupełnie obraził

JANUSZ DOMANIEWSKI

Najmilsze spotkanie

(Dokończenie).

— A widzi pan. Nie mówiłam? Jak dobrze, żeśmy się nie wrócili. Tak się cieszę...

Zmarzłem na kość. Oddaję pięknej Pani lejce. Schodzę z bryczki i idę obok, by się nieco rozgrzać. Powoli serpentynami, wznosimy się ku górze. Nastrój, im wyżej, tem pogodniejszy. Piękna Pani czaruje. Bardzo lubi jeździć końmi. Wycieczki do Morskiego Oka nie wyobraża sobie inaczej. Powożenie, to jej sport ulubiony. A może nie mam do Niej pod tym względem zaufania? Mam zupełnie? Tem lepiej dla mnie. Czegóż więc trzymam się ciągle tej poręczy? Mam się natychmiast odczepić. Wogóle, mogę iść za bryczką. Ona sobie doskonale poradzi z końmi w każdej sytuacji.

Pozostaję kilka kroków w tyle. Mijamy właśnie 28-my kilometr. Po prawej stronie drogi leży nagie, odsłonięte przez halny, zbocze. Smutne wrażenie robią rosochate korzenie wznoszące się ku niebu, jak konieczne pomniki gwałtu, dokonanego przez wiatr na lesie. Między niemi zaczyna już zresztą porastać nowy las, a tu i ówdzie widać grupy większych smereków, takich, że i rogacz mógłby się w nich schować.

Przez prawe ramię rzucam okiem za siebie i w tej chwili miga mi między świerczkami jakaś sztuka, mam wrażenie, że pies, który sadzi wprost na mnie. Na bryczce mam sztucer, ale „pies“ jest tak blisko, że zanim doskoczę do bryczki i złapię za broń, spłoszy mi się i zniknie w gączczu. Więc ujdzie bezkarnie? A nie! Wszak musi wyskoczyć mi pod same nogi. Zruluję go i z Browninga. Wszystko to trwa sekundy. Sięgam do kieszemi. Ale rękawiczki mokre, kieszeń i jej okolice również. Nie mogę odrazu pistoletu wyrwać. Stanąłem i przez ramię patrzę w owe świerczki i ku memu zdumieniu widzę, że w tem samem miejscu, za pierwszym miga drugi egzemplarz, a za nim trzeci... W gąszczu nie mogę rozpoznać co idzie? Cóż u bjabła! Wilków tu niema. Psy... stadami... gonią... bez głosu? Kombinuję nieco chaotycznie, bom nagle do kniei, tak właśnie, jakby z nieba spadł.

Wreszcie trzymam broń w ręku. Zmarzniętym palcem odsuwam z trudnością bezpiecznik, unoszę rękę i w tej samej chwili... tak jak obliczyłem, pod same nogi wytacza mi się ...niedźwiadek. Nie widział mnie do ostatniej chwili. Nic podobnego nie spodziewał się zo-

się, gdy go chciano — co prawda czasowo — pozbawić zaszczytnego tytułu „rogacza“ i mianować kozłem, albo zgoła capem, li tylko dlatego, ponieważ przez krótki czas — właśnie w porze zimowych polowań kniejowych — jest pozbawiony parostków.

Obecnie znów wypłynęła sprawa rysia, którego p. C. C. G. nazwał zwierzem najszlachetniejszym („Łowiec“ Nr. 5 z r. 1928 str. 68). Obruszył się na to pan K. Strzemię i rzekł krótko a węzłowato: „Ryś, to złodziej i rabuś“! Sądzę, iż miał rację, bo nie można szlachetnym, a tem mniej najszlachetniejszym zwać zwierza, który żyje z rabunku, którego całe życie znaczone krwawemi ofiarami zwierzyny prawdziwie szlachetnej. Wszak nikt nie nazywa szlachetnym zwierzem tygrysa ani nawet lwa, dając mu jedynie trafny przydomek: najgroźniejszego, najpotężniejszego reprezentanta rodziny felidów. Od nich do rysia jeszcze daleko, a jednak i on jest zwierzem wysokiej rangi. Wielki nasz wieszcz w IV-tej księdze „Pana Tadeusza“ zaliczając dawnego tura, żubra i niedźwiedzia do „puszcz imperatorów“ tuż obok nich stawia rysia, jako „czujnego ministra“. Utrzymanie przy życiu tego ministra leży w interesie równowagi i ładu wśród świata zwierzęcego. „Raum für Alle hat die Erde...“ mówi wieszcz niemiecki, a nowe poglądy nakazują nam hołdować szczytnej zasadzie zapewnienia bytu wszystkim gatunkom zwierzyny, żyjącym z woli Stwórcy na naszej ziemi, co tak słusznie i pięknie zaznaczyła Redakcja („Łowiec“ Nr. 8 z r. 1928, str. 122).

Ten właśnie wzgląd zniewala mnie do stanowszego przechylenia się na stronę zwolenników poglądu wyrażonego w artykule p. C. C. G. pod tytułem „Morituri“ tem bardziej, iż opierając się na fachowych opinjach, uważam za rzecz stwierdzoną stałe zmniejszanie się stanu rysia w naszych górskich rewirach. Że w sferach miarodajnych liczono się z tym objawem i uznano potrzebę przeciwdziałania, tego dowodem jest postanowienie Art. 51. ustęp 2 punkt e rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o prawie łowieckiem, które przewiduje możność wprowadzenia czasu ochronnego dla rysia. Od czasu pojawienia się artykułu p. t. „Morituri“ zaszła w obowiązujących przepisach ta korzystna zmiana, iż rozporządzeniem Ministra Rolnictwa z 17. marca 1928, Dz. Ust. Nr. 45 z r. 1928 poz. 448 przekazano Wojewodom uprawnienie zawarte w powyżej przytoczonym Art. 51. ust. 2 p. e. Mamy więc obecnie drogę bliższą i pewniejszą dla wyjednania ochrony tego bądź co bądź rzadkiego i pięknego zwierza. Sądzę, że starania należałoby skierować przedewszystkiem do Województwa stanisławowskiego, którego chlubna działalność i zrozumienie potrzeb łowiectwa jest już powszechnie znane i uznane. Z tym samym postulatem należałoby zwrócić się także do Województwa lwowskiego i krakowskiego, których okręgi administracyjne obejmują także częściowo rewiry górskie, stanowiące osiedla rysia.

Sądzę, iż nie chodzi tu bynajmniej o to, aby zrobić przyjemność temu lub owemu z wybranych, mających sposobność przypadkowego spotkania z rysiem podczas rykowiska jeleni, lub słuchania pieśni głuszcowej, lecz wyłącznie o to, by uchronić od zagłady i utrzymać dla Polski piękny okaz rodzimej fauny, ostrowidza, który, choć żyje rozbojem, ma jednak niezaprzeczone prawo bytu tam, gdzie go postawiła ręka Stwórcy t. j. w naszych przepięknych górskich rewirach.

---

baczyć. Zobaczywszy tak nagle, w miejscu osadził się na wyprostowanych przednich łapach. Na trzy kroki odemnie. Widziałem jego przerażone oczy, które zmrużył ze strachu.

Trwało to jedno mgnienie oka. Skręcił w miejscu na prawo i pod kątem prostym do poprzedniej drogi, poszedł wprost pod górę, a za nim drugi i trzeci. Przemoknięte nie mniej odemnie, z przylegającym włosem, robiły wrażenie raczej psów, aniżeli niedźwiedzi. Pełnym cwałem szły wprost pod strome zbocze, bez żadnego wyraźnego wysiłku. Nie bardzom się im zresztą przyglądał. W dwóch skokach byłem na stopniu bryczki. Chwytam za lejce. Nie wiem co przedsiębrać? Wiem, że jeśli pod bryczkę na szosę wytoczy się z kolei szanowna mama i mruknie, to będzie to właśnie ta sytuacja, w której piękna Pani napewno nieda sobie rady z końmi. Dlatego rzucam myśl zeskoczenia z bryczki ze sztucerem. Ależ tak... niech nawet tylko wiatru dostaną... a wszystko — i piękna Pani, bryczka, koce, ubranie... wszystko pójdzie w drobny mak. Miejsce do tego jest poprostu wymarzone. Na szczęście wiatr mieliśmy przychylny, od gór.

— Co takiego? Co się panu stało?

— Niedźwiedzie.

— Gdzie!? O, mój Boże. To dopiero...

— Ot tam.

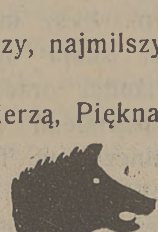
Piastuny znikają właśnie między pniami wyżej położonego starodrzewia. Niedźwiedzica nie pokazała się, a raczej niedźwiedzice. Były to bowiem piastuny od dwóch matek, które obie zginęły przed kilku tygodniami. Stowarzyszyły się ze sobą sieroty. Nie znając ostępów i bezdroży tatrzańskich, raz wraz trafiały na drogi i szlaki turystyczne. I teraz, najwidoczniej czemś spłoszone, wypadły wprost na nas.

Dobrze zrobiły. Ba, świetnie...

Pod tym już wyłącznie wrażeniem przyjechaliśmy do Morskiego Oka. Piękna Pani była bardzo zadowolona. Bo proszę pomyśleć!! W Morskiem Oku byli wszyscy. A kto widział niedźwiedzia? Nikt. A cóż dopiero trzy odrazu!! I to w Tatrach na drodze do Morskiego Oka...

— Mój najdroższy, najmilszy panie — czy mi aby uwierzą?

— Uwierzą, uwierzą, Piękna Pani...



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W PUSTYNIACH TURKIESTANU

1902 R.

(Z ŻYCIA AZJATY)

Ciąg dalszy

Pociąg spieszy teraz przez błotnistą okolicę. Nad nielicznemi wodami stoją garbate czaple szare i białe, z głęboko w ramiona wciągniętemi szyjami, drzemią stada ptasich elegantów, szarych żórawi, spoczywających po dalekiej nocnej podróży, z główkami na plecach zarzuconemi, lub gromadka gęsi i kaczek śpi na wodach spokojnie. Dalej od plantu na suchym stepie przechadza się gdzieniegdzie majestatyczny tabun wąsatych dropi.

Wszystko to raduje i cieszy widza, a dla mnie wydaje się czemś nowem, jakby nigdzie dotąd niewidzianem w kraju ojczystym, czy też za jego granicami w innych częściach świata. Wszystko to zdaje się być odmiennem, bo nawet wschód słońca, wstającego w tej chwili, jest inny jakiś. Jego ogromna, ognista kula w jednej chwili raptownie, wytacza się na szaro-niebieski firnament jak z toni morskiej, w całej swej wielkości i pełni zalewa nagle purpurowym blaskiem całe przestrzenie, srebrzy raptownie wody, złoci szczyty gór dalekich, budzi całą naturę do życia i czynu. Jak na jeden, niedostrzegalny zew, powstaje wszystko do życia. Z wód i bagien podnoszą się ciemne, zbite masy ptactwa w przestworza i przenoszą się z miejsca na miejsce na żerowisko, w poszukiwaniu swego wyżywienia. W powietrzu szum miljonów skrzydeł ptasich, w szuwarach i oczeretach pełno gwaru, skrzeku i świstu ptasiego, tylko w nagich i łysych górach Kopet-Dagu, nie widać najmniejszego śladu życia, nawet wiatr nie huczy w jego wyżynach.

Nagły świst lokomotywy, stacja Aschabad, wysiadam. Gród czysto azjatycki, domy o wąskich okienkach, niskie i z płaskiemi dachami. Wyróżnia się dzielnica, zbudowana przez generała Skobelewa, a upiększona w drugiej połowie ubiegłego stulecia przez współczesnego Skobelewowi gen. Kuropatkina parkiem i ulicami cienistych, strzelistych topoli, rozłożystych morw, popielatych oliwek, kasztanów, akacyj i gledjeri, biegnącemi wzdłuż kunsztownych „aryków“ (kanałów), zasilających zdrową i obfitą wodą miasto, sady, ogrody i plantacje waty. Miasto robi wrażenie wojskowego obozowiska, znajduje się pod zarządem wojskowych, których tu pełno i jak zauważyć przybysz może łatwo, żyjących dostatnio i swobodnie, zdala od argusowego oka zwierzchności. Cały handel przepysznemi owocami, jedwabiem, watą i wszelkiemi towarami spoczywa w ręku tuziemców, Pekińczyków, Turkmenów, Tatarów i Sartów.

Zamieszkałem w jednym z lepszych hoteli „pod psem“, który mimo niezachęcającej swej nazwy, był względnie wygodny i posiadał dobry bufet. Z pomocą usłużliwego hotelisty, załatwiłem wszelkie formalności meldunków o celu mej podróży w kancelarji wojskowego zarządu okręgowego, otrzymałem wskazówki potrzebne, nająłem dwukołowy wehikuł i po doskonałej kolacji złożonej z bakważanów, pomidorów, zakąsek z słodkiego pieprzu i owoców, poszedłem na spoczynek.

O wczesnym ranku zajechał najęty woźnica i ruszyłem w drogę do Gurmabu, o 65 wiorst oddalonego. Droga, czem więcej ku górom, stawała się kamienistą, wyboistą, pełną dziur, w których niknęła nieraz nasza arba całkowicie, a z których pomagać musiałem woźnicy i nędznym konikom się wydostawać.

Okolica jednostajna, step, płaszczyzny, dalej w sinej przestrzeni góry. Po drodze strzelałem do ciągnących gęsi, spudłowałem również jakiegoś długonogiego, szarego ptaka, pieszo biegnącego po stepie. Wieczorem stanąłem w Gurmabie, u starego kacapa Jura, wychodźca z środkowych gubernji cesarstwa. Auł okazał się zupełnie opuszczonym, z braku wody wyludniony, nie odpowiadał celowi memu, ze względu znacznego oddalenia od gór i braku mieszkania. Za poradą starego Jura przeniosłem się do Silikli, dużej niegdyś kolonji, zbudowanej przez Niemców, a w ostatnich czasach również wyludnionej z braku opieki rządowej nad „arykami“ i wyschłemi źródłami i basenami wodnemi.

W Silikli urządziłem się w sakli Wary i Kerbełaja-Ogły, wspólnych jej mieszkańców i współwłaścicieli. Wara, rosjanka z Tambowskiej gub., okazała się schludną i niezłą kucharką. Kerbełaj, chłop sążnistego wzrostu, atletycznej muskulatury, o byczym karku, o małej głowie i wprost śmiesznym, dziecinnym głosie, był typowym Azjatą. Ociężały i leniwy w ruchach, flegmatyczny i ciężki w wyrażeniu swej myśli. Nie rozumiałem jego gardlanego narzecza, on jeszcze mniej pojmował mą mowę, porozumiewaliśmy się za pomocą podskoków, prysiudów, wywijania rąk, komicznych wykrzywień twarzy i przewracania oczu. W kwestjach większej wagi stara Warwara przychodziła nam z pomocą i radą. Wara karmiła mnie tłustą baraniną, jajecznicą, „pochlobką“ i doskonałym chlebnym kwasem, za co płaciłem dziennie bajecznie tanio 1 rubla.

Teraz mając locum i „papu“ zapewnione na cały czas mego polowania, palącą dla mnie kwestją było wyszukanie i najęcie przewodnika-myśliwego, znającego góry i ich zwierzostan, jak niemniej polowanie na górskiego zwierza. Nie było to łatwem do wykonania. Krajowiec-tuziemiec Tekinczym, Turkmen lub Tatar, nie jest myśliwym w pełnem tego słowa znaczeniu i jeżeli oddaje się łowiectwu, nie czyni tego z umiłowania tego sportu, a raczej z potrzeb i przymusu życiowego, więc też woli zwierza zdobywać wszelkiemi podstępami i chytrościami, niż wchodzić z nim w otwartą i nierówną walkę i staczać ryzykowne z nim boje. Zastawia więc na niego sidła, potrzaski, kopie wilcze doły, łowi go w żelaza, a pojmanego dokłuwa dzidą, jataganem, lub

dobija maczugą, używając palnej broni jedynie w krytycznej tylko dla siebie chwili.

Po długich wahaniach się wybór mój padł na Kerbełaja i w skutkach okazał się najniefortunniejszym. Jak się okazało, mało znał on swe góry, a jeszcze mniej był świadom ich zwierzyny i sposobów polowania na tamtejszego zwierza. On też był główną przyczyną i sprawcą mych niepowodzeń w górach i w nich krótkiego mego pobytu.

W górach Koppet-Dagu.

Kto nie widział niebotycznych gór, nie poznał ich, nie piął się na ich szczyty, nie ścigał i gonił tam za zwierzem, temu nie łatwo pojąć tych szalonych trudności i niebezpieczeństw, jakie myśliwemu grożą na każdym kroku, a które on zwalczać musi w strasznym wysiłku i naprężeniu nerwów, z narażeniem nietylko zdrowia, lecz nieraz i życia. Jeden nie obliczony krok, nieprawidłowe postawienie stopy na kamień, osunięcie się z pod nogi głazu, wystarcza do utraty równowagi i runięcia w bezdenną przepaść, gdzie go nawet orle oko nie ujrzy. A gdy wreszcie dobierze się po kilkugodzinnem wdrapywaniu się na skały, czepianiu się po ostrych ich kantach, lub przepełzaniu pod nawisłemi ścianami i przeskakiwaniu rozpadlin do ich wierzchołka w błogiej nadziei końca swych mozołów i trudu, spostrzega z przerażeniem przed sobą jeszcze wieksza górę, za nią jeszcze jedną, drugą, dalej całe ich szeregi, coraz wyższe, dziksze i więcej zębate, czubami do stropów nieba sięgające, a nie mające miary i końca, jak nie mają miary i liczby, dzielące je jary, szczeliny i rozpadliny.

Dziś po raz pierwszy wyruszamy z Kerbełajem w góry. Najętych para osiołków podwiozła nas do wyżyn, skąd już pieszo idziemy, pnącym się w górę wąwozem. Otaczają nas wysokie ściany, rozbiegające się w wielu miejscach daleko od siebie, w innych znów schodzące się tak z sobą blisko, iż tamują nam dalsze ich przejście. W jednej z więcej otwartych przestrzeni natrafiamy na znaczny zbiór deszczowej wody, zebranej w kamienistem podłożu, jak w głębokim talerzu wydrążonym, a w około niego, jak na wielkiem cmentarzysku, kupy zbielałych kości zwierzęcych, całych szkieletów, rozrzuconych czerepów, rogów baranich, koźlich i cerwidów, a nawet świeżo objedzone żebra jakiegoś zwierzęcia. Jak widać, do rzadkiego tego w tych górach wodopoju, ściąga z dalekiej okolicy zwierz wszelaki i tu szuka chłodu i tuli pragnienie zgoniony przez wroga baran i kozioł, tu przychodzi koić piekące go rany postrzałek, tu chroni się przed śmiercią osłabłe ze starości stworzenie. Lecz tu czyha też na łatwą zdobycz drapieżny rabuś, wilk, baos, pantera lub tygrys. O ich tu częstem przebywaniu świadczą ślady ich pazurów, wyciśnięte na piasku, jamki, wygrzebane w ziemi w ich rozdrażnieniu i złośliwości, pomiot stary i świeży. Możliwość spotkania tu tego rabusia podwaja mą ostrożność, z palcem na cynglu broni przechodzimy z Kerbełajem około głębokich grot, czarnych jaskiń i ciemnych rozszczelin w skałach, przepatrujemy uważnie każdy krzew i najmniejsze zarośla. Opóźnia to naszą drogę bardzo i słońce już dobiegało do zenitu, gdyśmy wydostali się na pierwszy szczyt góry. Byłem zmęczony, brakowało mi powietrza, tchu i musiałem dłużej odpocząć, by do dalszej drogi być zdolnym. Jak zauważyłem, mój drab nie wiele więcej miał wprawy i nawyku do łażenia po górach.

Tu z tego szczytu roztaczał się daleki i dziwny widnokrąg na okiem nieprzejrzane płaszczyzny stepowe z jednej, a łyse, nagie, kopulaste góry z drugiej strony, na całe ich łańcuchy, poprzeżynane dolinami, wąwozami i całym labiryntem przepaści i rozpadlin. Gdzieniegdzie widniały, zwrócone przeważnie ku północy, wielkie płaskowzgórza, pokryte trawą, bezlistnemi krzewami, głogiem i wijącym się bluszczem.

Po długim wypoczynku, posileniu się baraniną i dobrym łykiem koniaku, wziąłem do oczu lunetę, by rozejrzeć się po górach, poszukać pożądanego zwierza. K. Ogły niemniej skwapliwie szukał go wszędzie swym orlim okiem. Nagle uderzył łapami po swych tłustych udach, szarpnął mnie za rękaw i pokazał mi na odległej skale stojącego kozła. Długo obserwowałem to piękne stworzenie, jak posąg nieruchome, stojące w całej okazałości swych związłych form, z rozwianą brodą i jak pałąk wygiętemi rogami sękatemi, do połowy grzbietu mu wystającemi. Zaczynamy go podchodzić. K. idąc przodem, potrąca kamień, który osuwając się z pochyłości zaczepia inny, ten znów ich więcej, i już cała ich gromada, jak lawina, staczając się w przepaść, podnosi kurzawę, szumi i huczy jak burza.

Długo grzmiało echo tego grzmotu w górach i dolinach, odbite tysięcznemi echami. Przeszliśmy pierwszy grzbiet góry, minęli drugi a podkradłszy się ostrożnie pod ścianę, na której widzieliśmy kozła, wychyliłem głowę ostzożnie przez szczerbę w skale, kozła na niej nie było. Po rozejrzeniu się wokoło, zobaczyłem go o całą wiorstę spacerującego po kancie jakiegoś urwiska. O dalszem go podejściu myśleć nie mógłem, dzieliły nas przepaści i rozpadliny do nie przebycia. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdyśmy zawrócili do domu. Osiołki oczekiwały nas na umówionem miejscu, z radością dosiadłem mego wierzchowca i z żalem w sercu za kozłem, z próżną torbą, ruszyłem do aulu. Wara czekała z „pochlobkoj" i pieczoną kurą, a widząc me przygnębienie, starała się mnie pocieszyć: „Ty barin nie tuži, twojo jeszczo w peredi, a „ty bołwan" nie ziewaj", przyczem Kerbełajowi nie pożałowała szturchańca.

Drugi dzień w górach. Słońce stało już wysoko na niebie gdym się znalazł z K. na wyżynach, na których mogliśmy spotkać upragnione zwierzęta. Pogoda była cicha i ciepła, pochód jeszcze dziś męczył mnie więcej, jeszcze większy brak powietrza odczuwałem. Serce pracowało ciężko, w skroniach stuk setek młotów, pot zalewał mi oczy, w nogach pudowe ciężary odczuwałem. K. O. niemniej był ociężały i zmęczony, prócz zapasowej mej broni, dźwigał na plecach cały

arsenał naboi, całodzienny furaż i butle z koniakiem i herbatą. — Już nie jedną sforsowaliśmy przełęcz, nie jedną ominęli ścianę, przeszliśmy parę wąwozów i wdrapywaliśmy się na czuby wzniosłości, a zwierza nigdzie spotkać nie mogliśmy. Przysiedliśmy na dłuższy wypoczynek pod ścianą, skąd mogliśmy obserwować rozległe płaskowzgórze, na przeciwległym pasmie wzniosłości. K. pierwszy spostrzegł po niejakim czasie wychodzące z za skał stado z kilkunastu głów złożone i dążące w poprzecznym od nas kierunku. Zakryci doskonale wysoką ścianą, zaczynamy mu zabiegać, w nadziei przecięcia mu drogi i dojścia do strzału. Stado, jak się okazało, pozostało na płaskowzgórzu na pastwisku i tam po godzinie je ujrzałem przez szczerbę w ścianie. Podpatrzywszy na kraj wyżyny, mógłem doskonale je obserwować.

Składały go przeważnie matki z koźlętami, pod strażą kilku tęgich rogali-samców. Stado, nie przeczuwając mej bliskości i grożącego mu niebezpieczeństwa, pasło się spokojnie, koźlęta bawiły się i zręcznie swawoliły z sobą. Miałem je na 350—400 kroków, oparłem więc sztucer o kamień i leżąc, wziąłem na cel najprzedniejszą sztukę — rogatego kozła i poruszyłem szneler. Kozioł skoczył, potknął się na przednie nogi, zebrał jednak siły i jak zapadły pod ziemią, znikł mi razem ze stadem za występem skały. Pobiegłem z K. za nim i z wysokiego wzniesienia dojrzałem sadzące po dalekich grzbietach na złamanie karku całe stado. Na śladzie odnaleźliśmy farbę, lecz kozioł przepadł, jak w wodę. Zniechęcony zawróciłem ku domowi, a spędziwszy stadko skalnych kur (perdix chukar) zapolowałem na nie, zmieniając sztucer na śrótówkę Tesznera. Jest ich tu wszędzie tak wielka masa, że dość jest podejść do kupy kamieni, do krzewu dzierżydrzewa, głogu, lub kępy traw, by nie spędzić jednej, dwóch, lub całego stadka tych wrażliwych ptaszyn. Strzał jednak nie okazał się łatwym. Mimo nawyku do strzelania lotnego ptactwa, nie mógłem przywyknąć do ich szumnego łopotu i elektryzującego trzasku i świstu skrzydeł przy zrywaniu się i pudłowałem, jak ostatni żak szkolny, a po wystrzelaniu całego arsenału naboi, zaledwie kilka ich sztuk upolowałem. W czasie południa, a niekiedy i znojnego poranku, całe ich stada zlatują do wodopoi, kąpią się i piją, po czem z wesołym szczebiotem obsiadają kanty sąsiednich skał i długie przesiadają godziny.

Ich bystry lot świszczący, wrażliwe krzyki nie milkną dzień cały w górach i dolinach, dają się nawet słyszeć w nocnej ciszy, gdy spędzone stado przez nocnego włóczęgę przelatuje w bezpieczniejsze miejsce. Odnaleść zapadłe przed nosem myśliwego stado, jest nie mniej trudnem, jak wyśledzić biegającą pieszo ptaszynę, toczącą się, jak czerwonawa kula z błyskawiczną szybkością tak dobrze w dół, jak i pod górę. Myśliwi odróżniają dwie ich odmiany, różniące się wielkością tylko od siebie. Samczyk w czasie wiosennych zalotów jest jaskrawiej upierzony od kury, chętny do wszczynania walk i wodzenia się za łby z rywalem. Mięso w smaku bardzo przypominające kuropatwie.

Mimo niepowodzenia w górskiem polowaniu i rozczarowania dużego, nie daję jeszcze za wygrane i z podwójną energją przeszukuję dziś z K. Ogłą dalekie wyżyny, dzikie pustkowia i płaskowzgórza szczytu wysokiego Ucz-Tany, siedliska stałego brodatych baranów.

Dzień pochmurny, ranne mgły zasłaniały lekką zasłoną jary i wąwozy i dopiero około południa słońce wyjrzało z za chmur i wiatr rozpędził tumany, odsłaniając widok na dalekie zaokrąglone kopuły górskie. Szczęście zdawało się dziś do mnie uśmiechać, Diana, od pewnego czasu odwrócona nieprzyzwoicie plecami do mnie, zwróciła uśmiechniętą twarzyczkę na chwilę w mą stronę.

Za wysoką ścianą dojrzeliśmy z K. Ogłą parę rogatych brodaczy, baranów. Spały sobie spokojnie z wyciągniętemi głowami przed siebie w zacisznym zakątku, wygrzewając się na słońcu, co te zwierzęta chętnie czynią w dni chłodniejsze i w czasie jesieni. Wiatr nam doskonale sprzyjał, odgłosy naszych kroków odnosił w przeciwną stronę, wysokie kanty skał nas zasłaniały, słowem, pomyślniejszych warunków szukać nie podobna. Jestem zelektryzowany i trzęsę się z emocji, sztucer mi drży w rękach. Odpoczywam chwilę, nie spuszczając z oczów mych pięknych, wspaniałych zwierząt. Powracam wkrótce do równowagi, oceniam dzielący mnie od zwierząt dystans, a choć go uważam za daleki, bo około 400 kroków, ryzykuję. Tak, jak barany leżały o wiele niżej mej pozycji, biorę cel trochę niżej i poruszam cyngiel. Suchy trzask kurka, strzelba nie wypaliła. Barany w mgnieniu oka powstały na nogi, lecz miałem już jednego z nich na celu i strzeliłem mu pod łopatkę. Dał susa, padł na przednie nogi, lecz w jednej chwili się zerwał, a nim zdążyłem dać strzał drugi, już razem ze swym towarzyszem, znikł mi w obrywie głębokim. Biegniemy z K. ile tchu w piersiach, a mocy w nogach, za ich śladem. Niestety rozpadlina tak szeroka, a pod nią obryw tak djabelski, iż ani myśleć możemy o dalszej pogoni. Gdy tak stoimy bezradni, spostrzegamy na wznoszącej się płaszczyźnie przeciwległej góry, jak mój postrzałek, zaledwie mogąc się poruszać wlecze się, przekracza jej rąbek i bezpowrotnie ginie nam z widowni i przepada. Jeszcze stałem długo, że smutkiem patrząc na skałę, za którą zakrył się postrzałek. Gdy niezadługo zakrążył nad nią sęp, wietrząc pewną zdobycz, a gdyśmy odchodzili, już cała ich gromada krążyła i zasiadała na skałach w około.

C. d. n.



PRAWO ŁOWIECKIE.

Na marginesie Rozporządzenia Prezydenta Rzeczpospolitej z dnia 3. grudnia 1927 r. „O prawie łowieckiem“.

(Dokończenie)

Przechodzę do Art. 46., który brzmi:

„Polowanie na łosie byki, a w województwach lwowskiem i stanisławowskiem na jelenie byki, dopuszczalne jest jedynie o obwodach łowieckich o powierzchni conajmniej tysiąca hektarów“.

Postanowienie jak najbardziej racjonalne ze względu na hodowlę tego szlachetnego zwierza, który do swego pomyślnego rozwoju potrzebuje jak największych przestrzeni, jak niemniej i dlatego, że każdy z nas wie, jakim strasznym rakiem dla dużych kompleksów leśnych, znajdujących się w jednem łowieckiem władaniu, są małe enklawy, lub małe graniczące obce rewiry, stanowiace t. zw. własne okręgi łowieckie. Taki jeden rak unicestwić może rozwój jeleni na olbrzymich, graniczących z nim przestrzeniach leśnych, gdyż nieraz rewirek taki, dzięki swoim przyrodzonym warunkom, wywiera fascynujący wpływ na zwierzynę i ściąga ją z dalekich odległości, koncentrując ją w niestosunkowej ilości. — Jeżeli taki rewirek znajduje się w ręku nieetycznie i nie uczciwie po łowiecku usposobionego osobnika, to okaże się, że na tym małym rewirku padnie co roku kilkakrotnie tyle jeleni, niż na olbrzymich sąsiednich przestrzeniach i padnie bez wyboru, bez planu żadnego i bez pomyślenia o przyszłości. To też z wielką ulgą powitać należy Art. 46. rozporządzenia, uniemożliwiający takim rewirkom niepomierne bujanie na koszt sąsiednich wielkich kompleksów.

Lecz *audiatur et altera pars*.

W Art. 55. czytamy:

„Szkody zrządzone w uprawach i plonach rolnych przez dziki, jelenie, daniele i sarny, obowiązany jest wynagrodzić właściciel obwodu łowieckiego, w którym zwierzyna wyrządzająca szkodę ma swoją przypuszczalną ostoję, lub dzierżawca, jeżeli polowanie w obwodzie łowieckim jest wypuszczone w dzierżawę“.

Na ten artykuł każdy się zgodzić musi. Kto chce mieć prawo hodowania grubej zwierzyny i przyjemność polowania na nią, musi też przyjąć na siebie i obowiązki z tego wypływające. Zrobiłbym jedynie zastrzeżenie co do użycia terminu „przypuszczalną“ ostoję, a wstawiłbym na jego miejsce zwykłą ostoję.

Lecz co ma zrobić z tym artykułem właściciel czy dzierżawca okręgu łowieckiego, nie obejmującego pełnych 1000 ha przestrzeni a tem samem nie posiadającego prawa polowania na jelenia. Jelenie w jego rewirze są, nawet jest ich za dużo, szkody robią ogromne, właściciel czy dzierżawca płaci dotkliwe odszkodowania a redukować mu stanu jeleni nie wolno, a przez to niemożliwem jest mu ograniczać rozmiary szkód przez nie zrządzonych, rozkoszy polowania nie zazna, cennego wieńca u siebie nie zdobędzie i co jakiś czas ciężkie grosze za szkody przez te dla niego nietykalne jelenie zrządzone exhibować musi. Nawet przez wydzierżawienie sąsiedniemu właścicielowi większego obszaru prawa polowania na jelenie, ratować się nie może, bo przecież sprzedawać lub wydzierżawiać coś czego się nie posiada, koliduje z ustawą. A przecież te jelenie w jego lesie nie są jego własnością, bo mu na nie w myśl rozporządzenia z 3 grudnia polować nie wolno.

Bardziej drakońskim jest jeszcze Art. 56., który orzeka:

„Jeżeli zwierzęta wymienione w Art. 55. (a więc i jelenie) wyrządzają szkodę w uprawach i plonach rolnych, mają swoją ostoję na gruntach nie wchodzących do obwodu łowieckiego, obowiązek wynagradzania szkody ciąży na właścicielach tych gruntów na zasadach Art. 55.“

Przyznaję otwarcie, że tego artykułu nie rozumiem. Mowa w nim o gruntach nie wchodzących w skład obwodu łowieckiego. Co to mogą być na grunta?

1. Albo nie mają 100 ha przestrzeni i wtedy w myśl Art. 7. powinnyby wchodzić w skład Obwodu łowieckiego „wspólnego“, a tylko prawdopodobnie zaniedbano je do takiego wcielić (pytanie, z czyjej winy?)

2. Albo mają 100—999 ha, z których zaniedbano utworzyć okręg łowiecki „własny“ (z winy właściciela).

3. Albo mają ponad 1000 ha również nie zgłoszonych jako własny okręg łowiecki (z winy właściciela).

4. Albo bez względu na przestrzeń Władza odmówiła utworzenia z nich okręgu łowieckiego (Okręg nie istnieje z winy Władzy).

W wypadkach 1. i 2., nawet w razie istnienia okręgu łowieckiego, właściciel czy dzierżawca nie miałby prawa polowania na jelenie. Odpowiadać więc, zdaniem mojem, za szkody przez nie zrządzone nie powinien, w myśl mojej argumentacji przy Art. 55. Odpowiadać natomiast winien za szkody zrządzane przez inną zwierzynę (dziki, sarny), bo przez zaniedbanie utworzenia okręgu łowieckiego pozbawił się sam możności regulowania stanu zwierzyny, a tem samem i rozmiarów szkód przez nią zrządzanych. W wypadku 3. obowiązek wła-

ściciela nie może ulegać kwestji. Wreszcie w wypadku 4. nieuzasadnionem wydaje mi się żądanie wypłacania odszkodowań od człowieka, któremu odmówiono utworzenia okręgu łowieckiego z jego gruntów, a tem samem uniemożliwiono mu regulowanie stanu zwierzyny.

Art. 56. należałoby wyjaśnić, a mianowicie jaknajwyraźniej ustalić, co to są za grunta i o jakiej przestrzeni, dlaczego w okręg łowiecki nie wchodzą i dlaczego ich właściciel nie mający z tego lub owego tytułu prawo polowania na ten lub ów gatunek zwierzyny, lub nie mający prawa polowania wogóle, nie mający również może żadnego wpływu na wcielenie swoich gruntów w okręg łowiecki lub na utworzenie z nich „własnego okręgu, ma być mimo to wszystko pociąganym w myśl tego artykułu do wynagrodzenia szkód zrządzanych przez zwierzynę, a zwłaszcza przez jelenie.

Kończąc te uwagi. zaznaczam, że wydaje mi się zupełnie słusznem, ażeby każdy właściciel, czy też dzierżawca okręgu łowieckiego był obowiązany do wyrównywania szkód zrządzanych przez te gatunki zwierzyny, na które mu polować wolno. Obowiązanym będzie również ten, który zaniedbał utworzenia z swoich gruntów okręgu łowieckiego — a przez to pozbawił siebie względnie dzierżawcę możliwości regulowania stanu zwierzyny. Natomiast wolnym od wynagrodzenia szkód przez jelenie powinien być każdy właściciel, czy dzierżawca okręgu łowieckiego, któremu prawo polowania na nie nie przysługuje, jak nie mniej i ten właściciel gruntów, którego posiadłość nie z jego winy, nie została objętą okręgiem łowieckim.

A. Przedrzymirski.



Notatki bibljograficzne.

1. Sprostowanie omyłek drukarskich. W poprzednim zeszycie „Łowca“ na str. 274., w „Notatkach bibljograficznych“ przeoczono korektę autorską, skutkiem czego do tekstu przedostało się kilka błędów zecerskich. Gramatyczne i ortograficzne pomijamy, jako nie wymagające sprostowania, natomiast prostujemy, że encyklopedja francuska: „La chasse moderne“ jest jednotomową, a nie, jak wydrukowano: „jednostronną“. Autorem książki „La chasse“ jest p. Lajarrige a nie Lojarrige.

2. Na życzenie autora „Obrazków myśliwskich“, prof. Gürtlera (zob. recenzję z poprzedniego zeszytu „Łowca“ str. 274), zwracamy uwagę, że do dziełka tego wkradł się błąd następujący: nazwisko d-ra St. Zaborowskiego umieszczone zostało mylnie w przypisku na str. 99. do ustępu: „Wrogowie zwierzyny i łowiectwa“, zamiast w ustępie „Batory w puszczy Jaktorowskiej“ na str. 139/140, gdzie prof. Gürtler zacytował przepiękny ustęp St. Zaborowskiego z jego utworu „Z psami“.

3. Nowość: **Henryk Potocki.** W krainie Massajów. Z 31 ilustracjami. Nakład Gebethnera i Wolffa, druk Anczyca, 1928., in 8⁰ str. 142. Jestto barwny opis podróży łowieckiej do wschodnio-afrykańskich kolonij angielskich, którą Ordynat na Chrząstowie odbył w roku 1927. wraz ze swą małżonką, z domu hrabianką Branicką. (Cena egz. 10 zł.).

W. Z.

Zawiadomienie.

Dnia 6. marca 1928 roku zostało ogłoszone Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 29. lutego 1928 roku o Państwowem Muzeum Zoologicznem (Dz. U. R. P. Nr. 24, 1928), a dnia 27. marca ogłoszony został Statut tegoż Muzeum (Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 14. marca 1928 roku; Monitor Polski, Nr. 72, 1928).

Rozporządzenia powyższe ustaliły stanowisko prawne i charakter naukowy instytucji, istniejącej od r. 1919 do 1921 pod nazwą Narodowego Muzeum Przyrodniczego, od 1921 do 1928 r. pod nazwą Polskiego Państwowego Muzeum Przyrodniczego (a obejmującej jedynie dział Zoologiczny).

Wobec powyższego podaje się do wiadomości wszelkich krajowych i zagranicznych władz, instytucyj, stowarzyszeń oraz osób prywatnych, które pozostawały w stosunkach z Polskiem Państwowem Muzeum Przyrodniczem lub z poszczególnymi członkami jego personalu, że od chwili obecnej nazwa i adres Muzeum brzmią jak następuje:

Państwowe Muzeum Zoologiczne

Krakowskie-Przedmieście 26-28,

Warszawa.

Tytuł naukowego wydawnictwa Muzeum zostaje, począwszy od tomu VII (1928), zmieniony na:

Prace Państwowego Muzeum Zoologicznego

(Annales Musei Zoologici Polonici).

Dr. Antoni J. Wagner

Dyrektor Państw. Muzeum Zoologicznego

TREŚĆ: Wystawa łowiecka 1929 w Poznaniu. — Albert Mniszek: Z dziedziny broni i amunicji (5. Pocisk u celu) — Teodor Tołłoczko: O rysiu. — Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych. — Leopold Łysakowski: Szczupak, karpie i ryś. — Janusz Domaniewski: Najmilsze spotkanie (felj., dok.) — Władysław Czerniejewski: W pustyniach Turkiestanu (Z życia Azjaty, c. d). — Prawo łowieckie. — W. Z.: Notatki bibljograficzne. — Zawiadomienie.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z Drukarni Narodowej, Lwów, Szajnochy 2. — Tel. 21-35.